Marek Jastrząb

Po-ranne noce (3)

Nie dostrzegała w nim natomiast pobudek szlachetnych, tego, że był jednym z ostatnich romantyków traktujących miłość do kobiet w sposób zgodny z duchem przemijających czasów.

Kim był dla niej? Z początku budził odrazę i przerażenie. Bała się jego odmrożonych rąk, czuła, że ją osacza, że wszelkimi sposobami stara się do niej zbliżyć. A potem, gdy już oswoiła się z jego natrętną obecnością, gdy zdecydowała się na przyjęcie jego oświadczyn i popełnienie mezaliansu, raz chciała, by był zabawką, nakręcanym przez nią pajacykiem, to znów innym razem – poczciwiną-totumfackim, uczuciową spluwaczką do pokornego wysłuchiwania jej zwierzeń, rodzajem zausznika, wiernego psa, kamerdynera dopuszczonego do konfidencji, czymś na kształt eunucha, któremu łaskawie powierzałaby swoje najintymniejsze sekrety.

Zaś dla ojca panny Belci? Stary Łęcki, zakochany w sobie utracjusz, kompletnie wyzuty z rozumienia czegokolwiek, co należało do twardego chodzenia na własnych nogach, żył w marzycielskiej pewności, że jest człowiekiem zamożnym. Niestety, pewność ta należała tylko do niego, albowiem wierzyciele mieli odmienne zdanie i zbiorowo nałazili mu dom wymachując niezapłaconymi wekslami. Przed nieuchronną ruiną i całkowitym bankructwem obronił go kupiec galanteryjny Wokulski, przeszło czterdziestoletni wdowiec, człowiek czynu, syberyjski zesłaniec, niemiłosiernie bogaty i na dokładkę – filantrop, który dorobił się na dostawach dla wojska, który zamierzał utworzyć w Warszawie spółkę do handlu z Rosją i miał to nieszczęście, że ośmielił się zadurzyć w jego córce. Pan Łęcki traktował pana Stanisława jak prywatne ratunkowe koło do udzielania pieniężnej pomocy i finansowego zbawcę.

* * *

Ze zgrozą czytam o tym, jak współcześni postrzegają pana Stanisława na tle Laluni Łęckiej. Jak widzą i oceniają faceta uwikłanego w miłosne i dorobkiewiczowskie perypetie. Mężczyznę żyjącego na pograniczu dwóch epok. Epoki odchodzącej, zwanej – romantyczną, i nadciągającej, pozytywistycznej: w połowie tu, w połowie tam. Wśród czasu, w którym przyszło mu borykać się z chłodem codzienności. Z jej sprzecznymi dezyderatami. Tragiczne jest to, że za arbitralne wypowiadanie się o Wokulskim, zabierają się ci, którzy „Lalkę" znają tylko z przelotnego słyszenia, albo zaczerpnęli o niej wiedzę z filmu lub – nonszalanckiego streszczenia szkolnej lektury zawartego w jednym z bryków.

Dzisiaj nie ma w tych zdaniach nic dziwnego: przecież znajdujemy się w świecie sceptycznych sądów, buntowników i obalaczy, wśród bliźnich wietrzących szwindle, popychanych przez marne przedsięwzięcia. Pośród osób chorobliwie niezdolnych wierzyć w normalne uczucia, cudzą wrażliwość i niewyrachowane zamiary; tak za Prusa, jak i teraz mamy do czynienia z dwulicowością.

Być może doczekam chwili, gdy za banalne parę lat wykluje się z obecnych buntowników następca Prusa. Lecz kiedy dzisiaj słucham niektórych wypowiedzi na temat znajomości lektur (choćby w matura, to bzdura. pl), to myślę sobie, że przy aktualnym, bezstresowym systemie kształcenia nawet pół wieku nie starczy.

A gdy czytam artykuł o „Lalce" i autor reklamujący się jako PISARZ twierdzi z powagą, że Wokulski był rosyjskim szpiegiem, a pod jego tekstem znajduję mrowie zachwyconych komentarzy, to nie sądzę, by mnożenie portali z intelektualnymi zmazami miało pomóc czytelnikom. Wprowadza tylko niepotrzebny mętlik w niedouczone głowy. A takie tworzenie nie ma nic wspólnego z rzetelnym pisarstwem. Co się tyczy duchowej młodości, to racja. W tym miejscu posłużę się cytatem: „młodym być, to mając pod setkę, strzelić z procy w łysą czachę luminarza...".

Ryszard Kapuściński

Czytanie książek pana Ryszarda zacząłem wcześnie. Na długo przed „Szachinszachem", „Imperium" czy „Wojną futbolową". Zanim do Polski dotarła międzynarodowa sława jego utworów.

W prasie znajdowałem artykuły pisane przez niego z odległych stron. Korespondencje z Indii, Chin, Ameryki Łacińskiej, Afryki, informacje i depesze z miejsc nasiąkniętych krzywdą, nędzą i niesprawiedliwością. Teksty relacjonujące, komentujące, przedstawiające wielobarwną, egzotyczną rzeczywistość kraju, z którego je wysyłał. A także liczne jego wywiady i zapiski rozmów z kandydatami na przyszłych reportażystów. To, co stworzył, nazwać można prekursorskim reportażem opartym o reminiscencje.

Osobistą relacją z odniesionego wrażenia. Relacją z atmosfery opisywanego miejsca. Co budzi bezpodstawne opory i nieporozumienia w środowisku dziennikarzy hołdujących tradycyjnym definicjom tego literackiego gatunku.

Ryszard Kapuściński nieprzypadkowo powołuje się na starogreckiego historyka Herodota i na jego prekursorską metodę zbierania wiadomości „u źródeł" – nazywa go pierwszym reportażystą.

Herodot stwierdza: „aby lepiej poznać siebie, trzeba poznać Innych, bo to Oni właśnie są tym zwierciadłem, w którym się przeglądamy". Ta uwaga jest kluczem do zrozumienia twórczości Kapuścińskiego: pisma Herodota są jego brewiarzem.

Przy czym nie urządza sobie wypraw turystycznych, a przeciwnie, stara się wniknąć w atmosferę miejsca pobytu. Przesiąknąć jego klimatem. Utożsamić z nim po to, by móc go odtwarzać. W dziełach Kapuścińskiego fakty i daty nie są tak ważne, jak aura wytworzona wokół nich. Interesuje go sedno problemu, istota rzeczy, synteza sprawy, reminiscencje i zbitki przeżyć zapamiętanych z różnych kontynentów. Tworzy z nich kolaże, mozaiki złożone z przenikających się zagadnień. Tym samym buduje własny świat „ogólnych" uczuć; za nic ma drobiazgowe przedstawianie szczegółów; przesadny weryzm – zamula wyobraźnię.

W odróżnieniu od innych korespondentów zagranicznych, nie lubi przebywać w komfortowych warunkach hotelowych państwa, którego jest gościem. Woli być blisko opisywanych wydarzeń. Wśród autochtonów. Uczestniczyć w ich życiu. Ciekawy nieznanego świata, pragnie zaznajomić się z nim gruntownie, ponieważ zdaje sobie sprawę, że inaczej nie będzie uczciwy w tym, co pragnie opowiedzieć. Pragnie – choć w części – zbliżyć się do opisywanej rzeczywistości. Zwraca uwagę na mnogość kultur. Nie pisze jednak o tym, że dzieli je na wyższe i niższe, lepsze lub gorsze, prymitywne i rozwinięte. Nie dokonuje ich klasyfikacji z punktu widzenia Europejczyka. Nie pogardza żadną z nich, a przeciwnie: traktuje ich odmienność z szacunkiem i stawia pomiędzy nimi znak równości czy wręcz – równorzędności; według niego każda z nich ma swój rytm i przebiega zgodnie z własnym scenariuszem zdarzeń. Skoro zaś są równoprawne i rządzą się indywidualnymi zasadami, człowiek o innej kulturze nie powinien narzucać im swoich wzorów.

(Dokończenie na stronie 4)